

Pół wieku z kolonizacją wołoską

Na studiach etnograficznych kazano nam przeczytać *Migracje wołoskie na ziemiach polskich* Kazimierza Dobrowolskiego, podstawową literaturę przedmiotu. Przeczytałem, zaliczyłem, uznałem sprawę za zamkniętą. A więc: bałkańsko-rumuńskie ludy pasterskie, zwane Wołochami, posuwając się ku północy łukiem Karpat, mieszały się z ludnością tam żyjącą. Gdy dotarły do Karpat Zachodnich, w ich składzie etnicznym przeważał element ruski. Parły dalej na zachód, nakładając się na wcześniejsze polskie osadnictwo zamieszkujące doliny rzek już od XIII wieku. Wędrowcy zaczęli się osiedlać, tworząc w XV-XVII wieku wsie lokowane na prawie wołoskim. Tak powstała Łemkowszczyzna.

Podawano to do wierzenia na kursach przewodniczkich, powtarzano w regionalnych publikacjach. Dla mojego pokolenia etnografów i krajoznawców kolonizacja wołoska jest oczywistością. Komu są bliskie Karpaty, ten wie, skąd się wzięła nazwa *Wołoszyn* w Tatrach, *Przysłop*, *Kiczery*, obfite zapożyczenia rumuńskie w polskich gwarach góralskich, np. *bryndza*; że *walach* w Beskidzie Śląskim oznacza pasterza, zwłaszcza owiec, górzysta część wschodnich Moraw to *Valašsko*, ciupaga po czesku i słowacku – *valaška*, *juhas* – *valach*. Znaczą: kolonizacja wołoska dotarła aż tam.

Po latach okazało się, że to nie takie proste. Kolonizacja wołoska miała miejsce lub nie, zależy z kim się rozmawiało. Kursował zwrot: „zdania naukowców w tej materii są podzielone”. Zaś ja, laik, nie zdołałem przeniknąć własnym rozumem, kto ma rację.

Natomiast zastanowiło mnie, że wykładnie procesów społecznych sprzed stuleci wykazują daleko idącą zbieżność z narodowością uczonego. Jestem Polakiem (Ukraińcem), więc przed wiekami było tak, nie inaczej. Kto twierdzi co innego, ma niedobre intencje. Stosunek do kolonizacji wołoskiej znacznie przekraczał ramy naukowej dyskusji mediewistów. Należał do sfery mitologii narodowej, a to już całkiem co innego.

Według nauki ukraińskiej Łemkowie żyją w Karpatach zachodnich co najmniej od wczesnego średniowiecza. Są reliktem Rusi Kijowskiej, potężnego

państwa zniszczonego przez najazdy tatarskie. Zwarta kolonizacja ruska, jak przeczytałem ze zdumieniem, sięgała o wiele dalej na zachód i północ niż granica Łemkowszczyzny sprzed 1945-47 roku. Podchodziła pod Kraków, zdaniem niektórych gród ruski. Tereny wyludnione przez Tatarów zostały zasiedlone przez Polaków napływających z północy, a pozostali przy życiu Rusini ulegli polonizacji. Łemkowie zaś ostali się, ponieważ lesiste góry, mało atrakcyjne pod względem gospodarczym i trudno dostępne, uchroniły ich przed najazdami tatarskimi i zaborczością polskich sąsiadów.

Nie opowiadam się za żadną z tych wersji, nie czuję się na siłach. Ani mnie ziębią, ani grzeją dawni Wołosi, nie potrafię ich sobie wyobrazić. Cemu porzucili swe dotychczasowe siedziby i z narażeniem życia wędrowali setki kilometrów w nieznaną, co ich gnęło? Dotychczas nikt na to pytanie przekonująco nie odpowiedział, chociaż kilku próbowało, przywołując argumenty z dedukcji, czyli z własnej głowy. Znacznie ciekawsi wydają mi się ci współcześni naukowcy, którzy pełni głębokiej wiary w prawdziwość i niezaprzeczalność swych wizji mieszają fakty bezsporne, hipotetyczne oraz wydumane, przedstawiając te wydumane jako bezsporne, jeśli pasują im do obrazka. Fascynuje mnie instynktowny podział hipotez na przydatne, jak mówią ludzie wiejscy *podchodzące*, czyli trafne, obiektywne, jedynie słuszne – oraz sprzeczne z założeniami, a więc nienaukowe, stronnice, tendencyjne. Do tego dodać należy utwory literackie kreujące legendy, w których tkwi ziarno prawdy (naszej) oraz wierutne bzdury (nie nasze).

Mit założycielski, wiara w takie, a nie inne pochodzenie narodu ma w sobie coś z religii. Jest nam niezbędna do życia. Im gorzej z nami, tym intensywniej jest pielęgnowana, tym bardziej pomaga trzymać głowę nad wodą. Na przykład wiara Polaków w Piastów, Kołodziejów, Kraka, Warsę i Sawę, smoka wawelskiego, wiara Czechów w Libuszę i jej prorocstwo, Przemysła Oracza w łapciach. Rozwijały się pięknie w XIX wieku, bo Polacy wybijali się na niepodległość, a Czesi usilnie emancypowali.

Licytowanie, kto w Beskidzie Niskim mieszka „od zawsze”, a kto „dopiero” od kilkuset lat, czyli jest „przybyszem”, to pozostałość tarć, które w drugiej połowie XIX i początkach XX wieku przetoczyły się od Bałkanów po Finlandię i towarzyszyły formowaniu się nowoczesnych narodów. W naszym kącie Europy chyba nie ma nacji, która nie podkreślałaby swej odwieczności, zasiedlenia, naturalnego prawa do historycznego terytorium. Na tym tle wybuchały spory, na przykład czesko-niemieckie o Pragę. – Gdy wy, Niemcy, leżeliście przy ogniskach na skórkach dzikich zwierząt i obgryzaliście kości, my, Czesi, siedzieliśmy za stołami i jedliśmy pączki z konfiturą – zawołał na ulicy czeski student w stronę burszów w korporanckich czapkach, prowokując kilkudniową bijatykę.

Album o Kieżmarku, niedawno wydany przez miejscowe stowarzyszenie niemieckie, pięknie ujmuje palącą kwestię pierwszeństwa: my, Niemcy, założyliśmy miasto, ale przed nami byli tu Słowacy.

U Łemków ów proces przebiegał odmiennie. Długo żyli na uboczu wielkich wydarzeń, nie mieli centrów politycznych, uformowanych elit, kulturotwórczego mieszczaństwa ani państwowotwórczych perspektyw, zaś po Wiośnie Ludów niespodziewanie stali się nieświadomym narzędziem rosyjskiej ekspansji oraz kartą przetargową w rywalizacji rosyjsko-austriackiej. Okazało się nagle, że ich odludzie leży na europejskim rowie tektonicznym, akurat między Wschodem a Zachodem. Odtąd każda zmiana układu sił była dla nich kolejnym dramatem.

Myśmy tu byli pierwsi, inni dopiero po nas. To w naszej części Europy kwestia o zasadniczym znaczeniu i wielu obliczach. Cicha wojna o poprawę samopoczucia, przedmiot ożywionych dyskusji w instytutach naukowych i wiejskich gospodach.

– Dlaczego to dla was takie ważne, ta kolonizacja wołoska? – spytałem przyjaciela Łemka w chwili szczerości, po paru wódkach. Owszem, było to niezbyt delikatne.

– A co ty sobie myślisz, że to miło być potomkiem jakiegoś brudnego pastucha? My tu jesteśmy od świętego Włodzimierza, tysiąc lat z hakiem, a kolonizacja wołoska, jeśli była, miała miejsce zaledwie pięćset lat temu, nawet może mniej, przecież to jakby wczoraj!

No i profesor Reinfuss, dla którego migracje wołoskie w Karpatach polskich były niepodważalnym faktem, miał u Łemków przechlapane.

Ślad tego znajdziemy w wierszu Władysława Grabana:

DO ŚWIĘTYCH

Na zgłiszczach cerkwi
siadł Harasym
drwa zmurszałe
bezzadnie liczy
Na krzyżu drzemie
cień księżycy
piórami ptaków nastroszony
wiatr nieopatrzny
ślad cyrylicy
pożółkłą smugę znaczy
Z tumanu wieków
święty Roman
pędzi kolejne stado
Wołochów
Wczoraj zdmuchnięto
płomień świecy
ostatnią kopułę
zdarto z wieży
a święci tak daleko¹

Gorzki, sarkastyczny wiersz przywołujący Harasymowicza i Reinfussa, ironicznie nazwanych świętymi,

wypomina im fałsz. Takie właśnie fałszywe – zdaniem autora i jego ziomków – jest pędzenie kolejnych stad nieistniejących Wołochów.

Paweł Tylawski² w numerze 3-4/1992 pisma „Besida” ocenił zbiór rozpraw *Łemkowie w historii i kulturze Karpat*³, plon konferencji naukowej w sanockim Muzeum Budownictwa Ludowego. „No tak, znów nam gadają, że myśmy tu w góry niedawno przyszli. Ja w to nie wierzę. Zbyt jesteśmy do nich przywiązani. Pięć wieków to za mało, żeby aż tak się do nich przywiązać. A pewnie i dziesięć za mało!”.

Można to zestawzić dla kontrastu z kilkudziesięcioma wypowiedziami Jerzego Czajkowskiego w przywołanym tomie:

„Na temat gwary łemkowskiej wypowiedzieli się specjaliści polscy, ukraińscy i słowaccy, stąd też głoszenie poglądów, że język Łemków wywodzi się z prasłowiańskiego, jest dziś zupełnym anachronizmem (...). Łączy się to z koncepcją autochtonizmu Łemków w Beskidzie Niskim i brakiem wiedzy w zakresie tak trudnym jak językoznawstwo”⁴.

Prosty, jasny styl, niczym podsumowanie zajęć z dialektologii w szkole podoficerskiej.

Przenieśmy jednak kolonizację wołoską z półki „historia i etnografia” na półkę „świadomość narodowa, mitologia narodowa” i popatrzymy na nią z dystansu, a będzie ciekawie.

Myślenie życzeniowe, czyli chciejstwo (kolonizacji wołoskiej nie było, bo nam nie pasuje) to nie jest specjalność łemkowska czy ukraińska, lecz zjawisko znacznie szersze. Mitologia narodowa sobie, wiedza historyczna sobie – tak już jest, gdziekolwiek spojrzeć. Mity, niezależnie od ich zgodności z prawdą historyczną, są niezbędnym składnikiem życia narodowego. Francuzi świętują rocznicę zburzenia Bastylii, choć historycy mają w tej mierze poważne wątpliwości i twierdzą zgoła co innego niż autorzy szkolnych czytanek i okolicznościowych artykułów. Słowacy, w XIX wieku z wielkim trudem dobijający się tożsamości, pomagali sobie Janosikiem – postacią półserio, ale przydatną, skoro do dzisiaj im służy. Młodzież słowacka, jak to młodzież, podchodzi z dystansem do bohatera narodowego: *Hej, na skale vysokej hral Janošik hokej...* Janosik jest sławny na sposób dzisiejszych telewizyjnych celebrytów, którzy są znani z tego, że są znani. W czasach zaborów Matejko z pomocą uczniów namalował poczet królów polskich, ogromnie potrzebny, wielokrotnie reprodukowany, przemycany z austriackiego Krakowa do rosyjskiej Warszawy i pruskiego Poznania, do dziś niezbędny składnik wykształcenia każdego Polaka. Nikomu nie wadziło, że wizerunki pierwszych Piastów nie zachowały się; potrzebny był komplet królów, mamy komplet. Umówiliśmy się, że Mieszko i Chrobry wyglądali tak, jak ich wymyślił i uwiecznił mistrz Matejko, i bardzo dobrze. Ich twarze to powszechnie zrozumiałe polskie symbole, uwiarygodniają nasze banknoty.

W dzieciństwie słuchałem, przejęty zgrozą, historii o królu Popielu, którego zjadły myszy. Jakże można takie rzeczy opowiadać dziecku! Otóż można i trzeba, każdy świadomy Polak musi tę historię znać, tym się różnimy od cudzoziemców. Świadkiem owej historii jest Mysia Wieża nad Gopłem, o cztery stulecia młodsza od Popiela, jeśli takowy żył. Ale to przecież nie jest ważne.

W XIX wieku Polakom wadziło, że nazwa Czorsztyn brzmi z niemiecka, choć zamek w ciągu wielu stuleci był bastionem Rzeczypospolitej na południowej rubieży. Podpisywali więc obrazki: Czorsztyn, czyli Czarny Tyn.

Profesor literatury polskiej w galicyjskim gimnazjum zasłynął z wlepiania uczniom pał i zamykania ich w kozie za deklamowanie „Litwo! Ojczyzno moja!”. – Ma być „Polsko, ojczyzno moja” – poprawiał dobitnie – Mickiewicz przecież popełnił oczywistą pomyłkę; nie można wciąż mu jej wypominać.

Gdyby zebrać antologię takich przykładów, polskich i cudzoziemskich, powstałby opasły tom.

Nasi dziadowie i pradziadowie bronili się przed ztratą, walczyli o przetrwanie, szukając wsparcia u sławnych rodaków. Walczyliśmy na noże z Niemcami o Kopernika i Wita Stwosza. Na znaczku pocztowym Generalnej Guberni figurował fragment ołtarza Veita Stoßa jako jeden z pomników niemieckiej kultury na wschodzie. Ulicę Sobieskiego w Nowym Sączu przemianowano na Veit Stoß Straßę. Kilka lat później Gałczyński napisał⁵:

(...) Polską żył. Co najlepsze,
wszystko Polsce zostawił.

A Krakowowi serce,
jak jabłko na jabłoni;
a skonał w Norymberdze;
a nikt nie płakał po nim.

Kopernika, wie o tym każde dziecko, „polskie wydało plemię”. Jego narodowość była kwestią ogromnej wagi, skoro podczas okupacji na cokole warszawskiego pomnika okupanci umieścili niemiecką tablicę, a harcerze z narażeniem życia, pod nosem żandarmów, usunęli ją ku nieopisanemu radości całego miasta.

Im sytuacja trudniejsza, tym większe zapotrzebowanie na sławnych pobratymców. A Łemkom jest bardzo trudno, walczą o przetrwanie, jak my przed półtora wiekiem. Petro Murianka wyszperał i kilkakrotnie ogłosił drukiem, że Paweł z Krosna (XV-XVI wiek), wspomniany w podręcznikach literatury polskiej jako pierwszy renesansowy poeta polsko-łaciński, był Rusinem. Antonina Jedlicz pisze: „Uważał się za Rusina i podpisywał Paulus Ruthenus”⁶. Marek Zyburza twierdzi natomiast⁷, że był z pochodzenia Niemcem z Greifswaldu. Nie mam zamiaru odnosić się do tej różnicy zdań ani

opowiadać się za którąś ze stron; wystarczy mi tyle, że Paweł z Krosna jest Łemkom potrzebny, a Petro świetnie to wyczuł.

Jego odkrycie kojarzy mi się z ustaleniem dziewiętnastowiecznego badacza, że niemiecki filozof Friedrich Wilhelm Nietzsche był w jednej szesnastej Polakiem, nazwisko jego przodków brzmiało, o ile nie przekrecam, Nicki. Zapamiętałem to, gdyż zafrapowała mnie precyzja – Polak w jednej szesnastej! Sumienny badacz, a do tego człowiek uczciwy – po cudze nie sięga, swojego nie da.

Niestety, narodowe mity założycielskie i dokonania mediewistów miewają skutki uboczne. Teoria o kolonizacji wołoskiej zakłada, że Łemkowie przyszli pięć wieków temu, są więc – w domysle – przybyszami, nie autochtonami. To straszne nieporozumienie, pomieszczenie języków, jak przy budowie wieży Babel.

Bo przecież Łemkowie są w Beskidzie Sądeckim i Niskim niepodważalnymi autochtonami. Świadczą o tym groby pielęgnowane i te opuszczone, cerkwie i cerkwiszczą, ślady zarębków, legendy, kapliczki, nazwy geograficzne, podmurówki, stroje, pieśni, pamięć zbiorowa, poezja, proza, brzmienie nazwisk, dokumenty urzędowe, przypadkowe wzmianki w literaturze polskiej, węgierskiej, austriackiej. Wszystko. Niepotrzebne im czyjekolwiek potwierdzenie, po prostu są autochtonami, i już. A kolonizacja wołoska niechaj sobie żyje, zadręcza studentów i poprawia samopoczucie etnografom.

* Fragment książki *Za tamtą górą. Wspomnienia łemkowskie*, która w 2016 roku ukazała się nakładem wydawnictwa Iskry.

Przypisy

- ¹ *До святых (Do świętych)*, [w:] Володислав Грабан, *На ковпаку гір*, wiersze łemkowskie; Władysław Graban, *Na kolpaku gór*, z łemkowskiego przełożył autor, wydawnictwo Miniatura, Kraków 1991.
- ² Павел Тылявский, Друга волоска колонізація. „Бесіда” 1992, nr 3-4.
- ³ *Łemkowie w historii i kulturze...*
- ⁴ Jerzy Czajkowski, *Dzieje osadnictwa historycznego na Podkarpaciu i jego odzwierciedlenie w grupach etnicznych*, [w:] *Łemkowie w historii i kulturze...*
- ⁵ Konstanty Ildefons Gałczyński, Wit Stwosz, [w:] *Dziela*, t. 2, Czytelnik, Warszawa 1957.
- ⁶ Antonina Jedlicz, *Antologia poezji polsko-łacińskiej, 1470-1543*, Szczecin 1985. Za: *Panteon Zielonej Łemkowiny*, wybór, redakcja i wstęp Piotr Trochanowski, Gorlice 2008.
- ⁷ Marek Zyburza, *Niemcy w Polsce*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2001.